

Autor: Wojciech Jędrzejewski OP

Tajemnica Grzechu

- I. TAJEMNICA MSZY ŚWIĘTEJ
- II. TAJEMNICA GRZECHEU
- III. TAJEMNICA BOŻEGO MIŁOSIERDZIA

Kłopoty w rozumieniu grzechu

Bardzo nam przeszkadza w zrozumieniu, czym jest grzech, jedno fatalne skojarzenie: gdy pada słowo „grzech”, natychmiast myślimy: „Niemoralne postępowanie”. A co znaczy postępować niemoralnie? Na pytanie to najczęściej odpowiadamy: „Zrobić komuś świństwo”. Jest to beznadziejny ciąg skojarzeń, z którego wynika, że grzesznik to człowiek robiący świństwa bliźnim. Dlatego nieraz ludzie reagują jak moja znajoma, która powiedziała: „Ja się w ogóle nie czuję grzeszna, co ci księża mi wmawiają”.

Prawda o naszej grzeszności oznacza coś nieporównywalnie głębszego i poważniejszego niż niesmaczny fenomen wrednego zachowania się wobec innych.

Jedyną drogą zrozumienia czegoś z tajemnicy naszej grzeszności jest spotkanie z miłością Boga. On mnie kocha! Oddał za mnie na krzyżu swoje życie, a moje życie jest zamknięte na Jego miłość. Żyję obok Boga, mojego Ojca, obojętny na Jego słowa skierowane do mnie, ślepy na miliardy gestów Jego czulej troski. Letni przechadzam się wobec ognia odwiecznej Miłości. Odtrącam Jego rękę, która zaprasza mnie do tańca. Nie Kocham Miłości, potrafię ją ignorować, nie potrzebować jej, nie zanurzyć się w jej falach. Jestem grzesznikiem!

Żyję w Bożym świecie, podtrzymywany Jego pragnieniem, bym istniał, rozkwitał, ale moje serce nie bije w rytm Jego serca. Wybieram szamotaninę własnych zachcianek zamiast Jego pełną miłości wolę. I to właśnie oznacza, że jestem grzesznikiem. Potrafi mi być całkiem znośnie bez Niego, który jest moim jedynym sensem i światłem, co stanowi przerażające świadectwo mojej fatalnej kondycji grzesznika. Odkryć prawdę o grzechu mogę jedynie wtedy, gdy choć trochę przeczuję, jak ogromna jest miłość i troska wobec mnie Boga, mojego Ojca.

Grzech jako ukrycie się

Grzech zaowocował ukryciem. Bóg pyta w Raju: „[Adamie] Gdzie jesteś?” (Rdz 3, 9). Człowiek powołany do chodzenia przed swoim Stwórcą w świetle Jego prawdy i miłości, z otwartym sercem, ukrywa się, chowa bezwiednie. Nie czuje się bezpieczny i „okrycie”, „płaszcz” Bożej obecności nie jest dla niego czymś pożądanym.

„Gdzie jesteś?” – te słowa padają z ust Boga tuż po grzechu. Po co to pytanie? Aby Adam uświadomił sobie, że się ukrył przed Bogiem; aby sam zdał sobie sprawę ze zmienionej rzeczywistości swego serca.

Stwórca pyta każdego z nas dzisiaj: „Gdzie ty jesteś?” On nie pyta: „Człowieku, gdzie jesteś?”, ale woła po imieniu. Musimy usłyszeć swoje imię, aby osobiście podjąć dialog z Bogiem. Gdzie się ukryłeś? Gdzie się znajdujesz, gdzie jesteś? Gdzie zapędził cię grzech? Może ukryłeś się w smutku, w niepokoju, w cynizmie? Może jesteś zamknięty w więzieniu beznadziejności? Może zamknąłeś się w pożądaniu, w ambicji? Może schowałeś się w zgorzknieniu? Odpowiedź na pytanie brzmi: „Usłyszałem Twój głos w ogrodzie, przestraszyłem się, bo jestem nagi, i ukryłem się”. Grzesznik nie czuje się okryty Bogiem, ale zagrożony obecnością obcego. Utrata zaufania Bogu jest powodem naszej ucieczki, ukrywania się przed Nim. Grzesznika dzieli od Boga przepaść utraconego zaufania. Realna przepaść. Taki jest nasz stan. Jest to przepaść nie do pokonania o własnych siłach.

Dalej Bóg dopytuje się o konkretną przyczynę nowego stanu, tego poczucia obcości. Pyta o grzech. Ale nie słyszy przyznania się do winy, tylko próbę usprawiedliwiania się. Co doprowadziło cię do stanu, w którym się znajdujesz, do twojego ukrycia? Co było bezpośrednią przyczyną w tobie, nie w innych? Nie mów: „Zamknąłem się, ponieważ zranili mnie źli ludzie. Kłamię, gdyż nie da się inaczej” itd. Znajdź powód w sobie, swoją własną winę. To, że zło z zewnątrz spowodowało spustoszenie, nie stało się bez twojego przyzwolenia. Musiało ono nastąpić. Twoje wycofanie się z walki. Twoje złożenie broni, twoja rezygnacja. Nie wystarczy, że przyznasz się do zamknięcia w więzieniu. W tym więzieniu znajduje się ukryty klucz. Trzeba go znaleźć, bo inaczej pozostaniesz w niewoli. Będziesz tam umierać. Kluczem jest odpowiedź: „Jestem grzesznikiem, z dala od Ciebie. Jestem w oddaleniu. Wyznaję Ci również moje konkretne grzechy. Zmiłuj się nade mną, grzesznym!”.

Skrucha bez znieczulenia

„Człowiek, który tego dokonał, winien jest śmierci”. Oto odpowiedź króla Dawida na przypowieść proroka Natana, której odrażający bohater, bogacz zabierający ubogiemu sąsiadowi jedyną owieczkę, to tak naprawdę sam król, póki co nieświadom tego faktu. Z chwilą, gdy odkrył, kim w rzeczywistości jest ów „człowiek bez miłosierdzia”, wyznał: „Zgrzeszyłem wobec Pana” (por. 2 Sm 12, 1-14).

W tym jednym zdaniu ujawnia się wielkość Dawida. Ani słowa więcej. Potem tylko pokutna pieśń, którą do dziś modli się Kościół:

Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość! [...] Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną. (Ps 51, 3. 5)

Istota skrucy zdolnej mocą Bożego miłosierdzia przywrócić grzesznika do życia leży w ascezie wyznania: „Zgrzeszyłem”. Nic więcej. Ile trzeba mocy ducha, aby nie sięgnąć po samousprawiedliwienie, znieczulenie w postaci przeciwbólowego środka z etykietką: „ALE”. Postawić tamę kolejnym słowom, których potok może rozmyć bolesną prawdę i zgasić

trawiący ogień wstydu, doświadczenia klęski, poczucia zdrady. Zabronić sobie takiego kroku – na tym polega wielkość upadłego człowieka.

Pałająca świadomość grzechu, żar Bożego gniewu i ból własnego upadku to ognisty piec, z którego mamy ochotę wymknąć się przez awaryjne drzwi z napisem „ALE”. Błogosławiony czyściciel, skrucha bez znieczulenia, nie może wówczas stać się naszym udziałem. Tracimy szansę na rzeczywiste nawrócenie. Uzdrawiająca moc Bożego miłosierdzia nie ma do nas dostępu, gdy tchórzliwie uciekamy od odpowiedzialności za swój grzech, usiłując ją choć trochę rozmyć. Nauczycielem pokuty nie jest elokwentny faryzeusz, lecz bijący się w piersi celnik (por. Łk 18, 9-14). Na niego spływa usprawiedliwienie, odchodzi uświęcony, przywrócony życiodajnej łasce. Spogląda we własne serce i w nim dostrzega brak łaski. Nie patrzy na innych, nie szuka usprawiedliwienia dla swej nędzy, ale czeka na miłosierdzie.

Dobry jest Pan dla ufnych, dla duszy, która Go szuka. Dobrze jest czekać w milczeniu ratunku od Pana. (Lm 3, 25-26)

Im większa prostota trwania w nadziei, że Bóg zlituje się nad grzesznikiem, tym „obficiej może rozlać się łaska”. Nie trzeba szamotać się w coraz gwałtowniejszym, masochistycznym samooskarżeniu. To również stanowi utrudnienie dla Pana, który jest uzdrowieniem pokornych. Trudno jest, po prostu, wyznać swoją nieprawość, pozwolić, by wybrzmiała w ciszy skruszonego przed Bogiem serca. Czasami czujemy się odrobinę pewniej, gdy możemy zagłuszyć wyznanie dramatycznym i potępieńczym biciem się w piersi.

Nie ma na tym świecie usprawiedliwienia dla człowieka, który podeptał wybraną raz odwieczną Miłość, poza miłosierdziem płynącym z krzyża, miejsca, gdzie Bóg zaakceptował upokorzenie bycia odrzuconym przez „swoich”; Słowo, Chrystus, „przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli” (J 1, 11). Każdy krok grzesznika, w poszukiwaniu ulgi dla serca, które oskarża samo siebie za niewierność, nie zwracający się w kierunku krzyża, oddala od Boga, jedyne Zbawiciela. Tylko zgoda, aby „patrzeć na Tego, którego przebodli”, na Tego, który umiera zraniony moim grzechem, pozwala wraz z Nim ujrzeć nowe, odrodzone w Zmartwychwstaniu życie. W obliczu ukrzyżowanej przeze mnie Miłości, uznaję „swoją nieprawość”, bez wybiegów i krętaństw, wierząc w obiecaną łaskę.

Chcąc pokochać ów czyściciel, pomóc sobie żyć nim już dzisiaj, trzeba zlokalizować kuszące drzwi awaryjne. Trzeba zdać sobie sprawę z bogatego asortymentu uśmierzających ból środków, które „litościwy” diabeł daje nam byśmy się lepiej poczuli. Zobaczmy je w oparciu o dwa zdania wypowiedziane przez pierwszych rodziców tuż po grzechu, jakiego się dopuścili.

"Wąż mnie zwiódl i zjadłam"

Można tę „unikową” postawę ująć w sformułowaniu: „Zgrzeszyłem, *ale* nie ze złej woli”.

Owa usprawiedliwiająca formuła pojawia się w ustach ludzi zaskoczonych ogromnymi konsekwencjami niewinnego na pozór wyboru, o którym wszakże od początku było wiadomo, że spoczywa na nim cień grzechu. Zgoda na jednorazowe zło w przekonaniu, że na tym się skończy: kłamstwo, zdrada, narkotyk, pomówienie. Potem koszmarny, zaskakujący

i nieprzewidywany rozwój wypadków, który jest konsekwencją tego pierwszego źle postawionego kroku.

„Dałem się zwieść” – mówią ludzie, którzy ku własnej zgubie „igrali z ogniem” w przekonaniu o własnej sile i umiejętności oparcia się złu. Jest to mechanizm flirtu z grzechem w naiwnym przeświadczeniu, że potrafię się wycofać w odpowiednim momencie. „Niewinna rozrywka”, przy pełnej kontroli sytuacji. Niespodziewanie jednak sprawa przybiera całkiem inny obrót. Z opanowanych szulerów ryzykownej gry stajemy się bankrutami, nędzarzami, zmiażdżonymi przez to, nad czym, jak nam się wydawało, sprawowaliśmy kontrolę. I w takiej sytuacji, o ile tylko chcemy z niej się uwolnić, należy bezwzględnie uznać własną odpowiedzialność za zastaną sytuację. Wycofać się z rozważań na temat: „Jak mogło dojść do katastrofalnych następstw, skoro się ich nie zamierzało”. Przestać kreować się na ofiarę złych mocy, które sprzysięgły się, aby bezwzględnie wykorzystać fałszywe posunięcie dla rozpętania piekła. Nie czynić sobie wyrzutów z powodu „głupiego błędu” („co mnie skusiło?!”), który spowodował lawinę nieszczęść. Uznać po prostu, że z własnej winy wpędziłem siebie i innych w tarapaty. „Zgrzeszyłem”, reszta wzięła się z tego faktu.

Do takiej postawy wprost zmuszają swoich członków wszelkie grupy terapeutyczne przeznaczone dla alkoholików i narkomanów. Czynią to bezwzględnie, wręcz brutalnie, w świadomości, że tu znajduje się punkt krytyczny całej terapii: „Przestań się usprawiedliwiać! Wziąłeś i to był twój błąd. Chciałeś to zrobić, nikt na siłę nie wstrzymał ci towaru”. Dopóki delikwent nie zgodzi się przyjąć na siebie odpowiedzialności za obecną sytuację, leczenie nie ma szans powodzenia. Taki jest początek uzdrowienia.

Podobnie dzieje się w każdej innej sytuacji narosłego – w wyniku pierwszego wyboru – zła. Człowiek, który w dobrej wierze „dał się namówić” i skłamał, lub oczernił bliźniego, grzęźnie potem po uszy w całym bagienku łgarstw, usiłując oczyścić się ze stawianych zarzutów. Jeśli uzna za współwinnego eskalacji swej nieprawości tego, kto manifestacyjnie wyciągnął na światło dzienne popełnione przez niego pierwsze zło, to daleki jest od nawrócenia. Ucieka bowiem od bolesnej prawdy: „Zgrzeszyłem”, poprzez wskazywanie na swoją nie aż tak złą wolę, jakby to sugerowała skala następstw.

"Niewiasta dała mi owoc i zjadłem"

„Zgrzeszyłem, ale nie sam. Zgrzeszyłem, ale impuls dał ktoś inny. Odpowiedzialność za grzeszny wybór rozkłada się nie tylko na moje barki. Są współwinni. W tej intrydze brało udział wielu współtwórców”.

Częsta wymówka w sytuacjach uwikłania w zło całej grupy ludzi, środowiska, w jakim przyszło nam żyć i funkcjonować. „Jak nie brać łapówek, skoro cała instytucja jest skorumpowana? Nie jestem wyjątkiem, po prostu chcę dalej tu pracować”. Pewien człowiek, zatrudniony jako celnik na granicy, w taki sposób argumentował swoją postawę: „Jeśli stanę się nieprzekupny, wygryzą mnie z roboty”. Jeśli wlażesz między wrony, musisz krakać jak one.

Inny przykład. Puszczona nie sprawdzona plotka, którą powtarzam. Po pierwsze, nie wyszła ona z moich ust, po drugie, wszyscy o tym mówią. Kto w efekcie odpowiada za zniszczoną pomówieniem reputację niewinnego człowieka? „Niewiasta dała mi ten owoc, ja tylko zjadłem”.

Ta forma samousprawiedliwienia ubiera się także w słowa: „Wszyscy tak robią”. Gdzie nie spojrzeć, ludzie kłamią, torują sobie drogę przez życie łokciami, nie są fundamentalistami w wyznawaniu zasad. Zło staje się normą poprzez ilościową przewagę nad dobrem. Jakżeż nie przyjąć tej przekonywającej etyki? „Społeczeństwo jest złe, chore, zmusza do postępowania według swoich reguł. Nie da się wyrwać z zaklętego kręgu. Puszczonyj lawiny nie sposób zatrzymać. Można tylko spadać wraz z innymi. Jeśli nie będę karmił się podawanymi przez innych owocami, umrę z głodu. Takie jest życie, brutalna rzeczywistość. Wystarczy spojrzeć dokoła, aby pozbyć się złudzeń. Jeśli nie bierzesz udziału w tej piekielnej sztafecie, wypadasz z gry”.

Sumienie, skłonne do tego typu usprawiedliwień, znajdzie również ukojenie w decyzjach prawnych przegłosowanych większością głosów. Skoro taka jest wola prawodawcy, liczącego się przecież z opiniami i nastrojami społecznymi, można się choć trochę zwolnić z poczucia winy za decyzję o zabiciu nie narodzonego dziecka lub uśmierceniu tatusia staruszka. Czyż legalizacja miękkich narkotyków nie każe łagodniej spojrzeć na zło korzystania z nich.?

„Zgrzeszyłem, ale to była odpowiedź na to, co mnie spotkało”, oto kolejne oblicze

usprawiedliwienia typu: „Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc [...] i zjadłem”.

„Inicjatywa nie wyszła ode mnie. Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby mnie nie sprowokowano. Czy miałem pozwolić draniowi cieszyć się zwycięstwem kosztem mojej krzywdy. Temu, kto czyni zło, trzeba odplacić tym samym. „Oko za oko, ząb za ząb”. Specyficznie pojmowana sprawiedliwość domaga się, aby nie pozostawić winowajcy bez wymierzonej własnoręcznie kary. Czy wtedy jednak uważam, iż trujący owoc zemsty zrodziło moje serce? Skądże, wyrósł przecież na złym drzewie nieprawości krzywdziciela!

Jezus każe nam odrzucić ten sposób pojmowania genealogii zła, mówiąc, że „z serca ludzkiego pochodzą [...] nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Całe to zło z wewnątrz pochodzi i czyni człowieka nieczystym” (Mk 7, 21-23). Gdy czynię niegodziwość jako odpowiedź na skierowaną przeciw mnie wcześniejszą niegodziwość, absolutnie nie zmienia to rangi mojego występku.

Niesprawiedliwe cierpienie bynajmniej nie musi owocować odwetem.

Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. [...] Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują (Mt 5, 38-44).

Według tej przeklętej „logiki domina” następstw zła, przekazywanego z rąk do rąk, zło czyniący sam wręcza społeczeństwu broń, aby ją zwrócić przeciwko niemu. Zapłatą za śmierć jest śmierć. Jeśli nie znajdą się ludzie pokroju króla Dawida, uznający swój grzech bez dopowiadanego „ale”, pozostawiający jedynie Zbawicielowi sąd nad ich sumieniem, pęcznięć będą gabinety psychoanalityków, a pustoszeć konfesjonały. Kościół zaludni się widmami, albowiem, jak mawiał pewien żydowski mistyk, ludźmi jesteśmy tylko na tyle, na ile potrafimy prawdziwie pokutować. Zwietrzała z powodu samousprawiedliwiania się sól, przestanie być szansą dla ziemi. Kopcąca lampa nie wskaże światu drogi życia.

Jedynie skrucha bez znieczulenia – czyściec na ziemi, daje szansę skutecznego nawrócenia. Otwiera drogę realnej przemiany serca i całej doczesności. Tylko w pokutnym spotkaniu z Panem możemy odkryć Jego radykalną mądrość:

Jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym, lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny. I jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie. Lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do życia, niż z dwójgiem oczu być wrzuconym do piekła ognistego (Mt 18, 8-9).

Nie kocham twojego grzechu

Uznanie swojej winy, skażenia własnego serca śmiercią, jest pierwszym krokiem, jaki musimy postawić w drodze do Zbawiciela. Wówczas usłyszymy Jego słowa: „Nie kocham twojego grzechu”. Bóg, który aprobowałby mój grzech, byłby niewart wiary ani miłości. Jeżeli bowiem byłoby Mu obojętne, że Jego dziecko robi sobie i innym krzywdę, to znaczy, że nie potrafiłby kochać naprawdę. Całkowicie fałszywy jest obraz Jezusa, który nienawidzi porządnych, pobożnych ludzi, a wprost uwielbia czyniących zło. Inny stereotyp sugeruje, że Chrystus jest dobry i rozumiejący, nie czepia się, nie potępia, natomiast rygorystyczni duchowni krzyczą na grzeszników i gardzą nimi.

Prawdą jest natomiast, że Jezus obdarzał ogromną miłością ludzi uwikłanych w zło. Po to właśnie tak bardzo ich kochał, przygarniał, aby mogli doznać uwolnienia od tego, co ich niszczy. Jezus wchodził w świat ludzi słabych i grzesznych nie po to, aby utwierdzić ich w przekonaniu, że robią dobrze i „jakoś to będzie”, lecz by na Jego ramionach mogli opuścić świat grzechu i śmierci.

Pan szczególnie chętnie spotykał się z ludźmi odrzuconymi z powodu swoich grzechów, które w rzeczywistości zapragnęli już porzucić. Potrzebowali tylko okazania im zaufania i troski. Jezus szedł do takich ludzi, bo wiedział, że zrozumieli powagę i niebezpieczeństwo zła. Stawał więc przed nimi jako sprzymierzeniec ich nawrócenia. I nawet jeśli się komuś nie podobało takie zachowanie, Jezus nie zatrzymywał się w drodze.

Chrystus odnosi się z miłością do grzeszników nie z powodu aprobaty ich postępowania, lecz dlatego, że pragnie pomóc im w nawróceniu. Kocha nas, a nie nasze grzechy. Są one jak choroba prowadząca do śmierci. Jako Lekarz nie może zgodzić się na jej ekspansję, pragnie nas od niej uwolnić.

Niezgoda Boga na naszą chorobę grzechu nosi w Biblii miano gniewu. Oznacza on radykalny sprzeciw Pana wobec śmierci, która panoszy się przez grzech w umiłowanych stworzeniach.

"Gdzież jest, o śmierci, twój oścień"

Są dwa rodzaje śmierci: fizyczna oraz duchowa. Tę drugą „zawdzięczamy” grzechowi. Fizycznie człowiek umiera od narodzin, tyle że do pewnego momentu jest to umieranie dzieciństwa na korzyść dorosłego, a potem z górką: od dorosłości do starości. Doświadczenie śmierci „ciała” jest czymś, co depcze nam po piętach niemalże na każdym kroku. Nie tylko przez własne kryzysy zdrowotne albo odejścia bliskich czy dalekich ludzi, ale także poprzez przemijanie rzeczy. Czego byśmy się nie tknęli, to topnieje to w rękach. Przemijalność rzeczy jest przypowieścią o naszym własnym odchodzeniu z tego świata.

Śmierć duchowa dopada nas wtedy, gdy pozwalamy, by nasze wnętrza: to, co Biblia nazywa sercem (korzeń i źródło całej wewnętrznej prawdy osoby), było rozdarte przez grzech. Co to konkretnie znaczy? Jeśli wydają się samej osobie: np. chorobliwej ambicji, wściekłości, nienawiści, cynizmowi, pożądlivości, kłamstwu itd., to wtedy mój duch zostaje rozerwany na dziesiątki części. Rozszarpane wnętrza duchowe. W takiej sytuacji prawdziwe życie, czyli zdolność do odpowiedzenia miłością na miłość Boga, musi ze mnie uciekać, gasnąć. Gdy obie śmierci zbiegną się w człowieku, to jego przeprowadzka z tego świata jest rozpaczliwa. Cały bowiem majątek, który nagromadził, rozmieniając na drobne swe serce, znika: nie ma już władzy, pieniędzy, sukcesów, zdobytych ludzi, ciał. Jest bankrutem. Sama śmierć fizyczna, bez tej spowodowanej grzechem śmierci duchowej, może być uciążliwa, ale nie musi budzić rozpacz. Albowiem w tajemnicy mojej osoby, mego serca, kwitnie życie, które opiera się na odpowiedzi miłości danej Bogu. On, wieczne Życie, woła mnie. Gdy idę za tym głosem, skupiając całą swą duchową moc na owej odpowiedzi, wówczas rodzi się we mnie coraz pełniejsze, prawdziwsze życie. Śmierć fizyczna zostaje odtragizowana, uwolniona od cienia rozpacz. Odchodzę bowiem z tego świata na Bożej fali, która porwała mnie i mną zawładnęła. Aby ratować nas od duchowej agonii, Zbawiciel nie zawaha się przed zadaniem nam bólu, nie cofnie swej ręki, aby nas zranić. Wszystko jednak po to, abyśmy doznali uleczenia.

Ten, który rani i sam uleczy

Pewien wikary w czasie wakacji zastępował na Podhalu miejscowego proboszcza. Podczas niedzielnej sumy grzmiał z ambony, piętnując wszystkie grzechy wymienione przez Dekalog. Po Mszy jeden z górali przyszedł do zakrystii i oznajmił księdzu: „Kazanie to może mówić do nas proboszcz, a wy sobie głoście homilię”.

Karcić ma prawo ten, kto udowodnił, że kocha: poprzez obecność, czas poświęcony ludzkim troskom i potrzebom, słowem: gdy złożył siebie w ofierze dla tych, którzy zostali mu powierzeni. Bóg zatem posiada to prawo w najwyższym stopniu, gdyż odwiecznie nam się ofiarowuje: w stworczej Dobroci, Opatrzności, Odkupieniu.

Boży gniew i upomnienie

Na przestrzeni całej historii zbawienia słysząc zatem świst bicia, który w rękach kochającego Boga służy jako narzędzie nawrócenia krnąbrnego Ludu:

Gdzie was jeszcze uderzyć, skoro mnożycie przestępstwa? Cała głowa chora, całe serce osłabłe; od stopy nogi do szczytu głowy nie ma w nim części nietkniętej: rany i sińce i opuchnięte pręgi, nie opatrzone ani nie przewiązane, ni złagodzone oliwą. (Iz 1, 5-6)

Czy mamy być zgorszeni takim postępowaniem Pana i Jego rzekome „okrucieństwo” złożyć na karb Starego Testamentu, z którego okowów są wyrwani żyjący już nie „pod Prawem”, lecz „w łasce”?

Bóg obchodzi się z wami jak z dziećmi. Jakiż to bowiem syn, którego by ojciec nie karcił? Jeśli jesteście bez karania, którego uczestnikami stali się wszyscy, nie jesteście synami, ale dziećmi nieprawymi (Hbr 12,7-8). Są to słowa nowotestamentalne, nakazujące interpretować prześladowania jako wychowawcze działanie Boga. W podobny sposób stawiali sprawę Ojcowie Kościoła, zwłaszcza w okresie przedkonstantyńskim, gdy chrześcijanie często stawali się przedmiotem ataków lub eksterminacji. Przywołajmy chociażby świętego Cypriana z Kartaginy, który w III w., za panowania cesarza Decjusza, każe dopatrywać się źródeł kolejnej fali prześladowań w licznych grzechach uczniów Jezusa. Wymienia je szczegółowo, poczynając od występków duchowieństwa. Cierpienie doświadczane za sprawą wrogich chrześcijaństwu poczynań Decjusza jest skutkiem niewierności, która pobudza gniew Pana.

Pismo święte kilkaset razy mówi o gniewie Boga. Stanowi on najpierw reakcję na zepsucie i samobójcze decyzje Ludu, który, łamiąc Przymierze, odchodzi od jedyne Oblubieńca i poniża się we flirtach z Baalem. Gniew pobudza Pana do walki o umiłowany Lud, świadczy o tym, że losy Jego Ludu nie są Mu obojętne.

Niezliczone nieszczęścia, jakie spadały na Izrael, upokorzenia spowodowane pustoszącymi najazdami okolicznych narodów, deportacje i niewole, klęski żywiołowe, przegrane walki, stanowiły bolesne ciosy karcącej ręki kochającego Ojca.

Dlatego się rozpałał gniew Pana przeciw swojemu ludowi, wyciągnął na niego rękę, by wymierzyć cios, aż góry zadrżały. (Iz 4, 25)

Doświadczany Lud, pouczany przez proroków, potrafił zrozumieć sens swoich udręk:

Oto Tyś zawrzał gniewem, bośmy grzeszyli przeciw Tobie od dawna i byliśmy zbuntowani. My wszyscy byliśmy skalani, a wszystkie nasze dobre czyny jak skrwawiona szmata. My wszyscy opadliśmy zwiędli jak liście, a nasze winy poniosły nas jak wichur. Nikt nie wzywał Twojego imienia, nikt się nie zbudził, by chwycić Ciebie. Bo skryłeś Twoje oblicze przed nami i oddałeś nas w moc naszej winy. A jednak, Panie, Tyś naszym Ojcem. Myśmy gliną, a Ty naszym twórcą. Dziełem rąk Twoich jesteśmy my wszyscy. Panie, nie gniewaj się tak bezgranicznie i nie chowaj w pamięci ciągle naszej winy! (Iz 64, 4-8)

Niezmiennie Stwórca „zazdrośnie pożąda [...] ducha, którego w nas utwierdził” (Jk 4, 5). Ilekroć więc postępujemy jak cudzołóżnicy, którymi stajemy się poprzez przyjaźń ze światem (w nowotestamentalnym znaczeniu tego słowa, to jest ze wszystkim, co w tym świecie sprzeciwia się Bogu i Jego prawdzie), powinniśmy spodziewać się gniewu Pana. Co odróżnia ów gniew od zemsty? Odwet jest ostatnim słowem w konflikcie. Zamyka sprawę w poczuciu wypełnionej sprawiedliwości. Jak na filmach: zdradzony mąż zabija kochankę niewiernej żony i, według ściśle ustalonego scenariusza, udaje się w inne miejsce, aby rozpocząć nowe życie. W działaniu Boga, ostatnim słowem jest wezwanie: „Wróć”. Karcenie ma za cel przemianę serca, zdobycie na nowo dla siebie niewiernej Oblubienicy:

Wróć Izraelu-Odstępco – wyroczenia Pana. Nie okażę wam oblicza surowego, bo miłosierny jestem – wyroczenia Pana – nie będę pałał gniewem na wieki. Tylko uznaj swą winę, że zbuntowałaś się przeciw Panu Bogu swemu. [...] Jeśli chcesz powrócić, Izraelu, możesz do Mnie powrócić [...], a jeśli oddalisz swe bóstwa, nie potrzebujesz się błąkać z dala ode Mnie. (Jr 3, 12-13; 4, 1)

Odpowiedź, którą rodzi zesłana udręka najpiękniej wyraża się w ufnym wezwaniu:

Chodźcie, powróćmy do Pana! On nas zranił i On też uleczy, On to nas pobił, On ranę zawiąże. Po dwóch dniach przywróci nam życie, a dnia trzeciego nas dzwignie. (Oz 6, 1-2)

Jest to Boska umiejętność nazywać grzech po imieniu, dawać odczuć ciężar odstępstwa przez karę, nie odcinając zarazem drogi powrotu. Kiedy Bóg wypowiada walkę naszemu grzechowi, potrafi, co prawda, boleśnie zranić „przeciwnika”, lecz nigdy nie pozbawia go szans na prośbę o ulaskawienie. Stawką jest bowiem życie albo śmierć. Przegrana człowieka oznacza jego zwycięstwo: dać się pokonać, uznając własną winę, i zdobyć się w najgłębszym upokorzeniu na decyzję: „Wstanę i pójdę do mojego Ojca”. Zacięcie się w urażonej dumie to trwanie w śmierci, którą sprowadził grzech.

Jezus od momentu, kiedy raz wszedł w starcie z faryzeuszami i uczonymi w Prawie, nie zrezygnował ani przez chwilę z prób przebudzenia ich z otumanienia hipokryzji, raniąc raz po raz ostrym słowem jak mieczem. Charakterystyczna w tej konfrontacji jest troska o każdorazowe pozostawienie uchylonych drzwi-szansy. Uderza nie dla zamroczenia, lecz po to, by rozjaśnić w głowach. W odpowiedzi na najbardziej bolesne i przewrotne oskarżenie o konszachty z Belzebubem, mocą którego „hoksztapler” z Nazaretu wyrzuca złe duchy, Jezus apeluje do zdrowego rozsądku: Jak królestwo, w którym trwa wojna domowa, może znakomicie prosperować?!

Ową Boską pedagogią kieruje „świadomość” prawdziwego oblicza wszelkiego grzechu i nieprawości. Człowiek w rzeczywistości jest bardziej jego ofiarą niż sprawcą. Pan modlił się na krzyżu: „Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą co czynią”. Jeśli wchodzimy we flirt ze złem, postępujemy jak dzieci, które czując, co prawda, że łamią zakaz rodziców, nie są w pełni świadome rozmiarów katastrofy, jaką mogą spowodować. Nieszczęśnika trzeba zatem uwolnić ze śmiertelnego zagrożenia, nie zaś odrzucić. „Zbawić, a nie potępić” (J 3, 17). Bóg patrzy na nasz grzech bardziej w kategoriach dramatu niż draństwa.

Miłość Boża, którą Duch Święty rozlewa w naszych sercach jest zarazem czuła, mocna, pełna miłosierdzia i stanowcza. „Nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą” (Rz 13, 6). Nie szuka swego, lecz dobra ukochanych istot. Dobro to jednak widzi nie w

perspektywie maksymy: „Aby wszyscy dobrze się czuli”, lecz według powołania do pełni życia. Gniewa ją więc każdy przejaw śmierci i jej panowania, dlatego walczy, lecz nigdy na oślep.

Spotkanie

Zobaczmy teraz, jak Ewangelia przedstawia spotkanie wyzwalającego Bożego miłosierdzia z konkretnymi osobami.

a) Doświadczenie niegodności

Gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: „Wypłyn na głębię i zarzućcie sieci na połów”. A Szymon odpowiedział: „Mistrzu, całą noc pracowaliśmy i niceśmy nie ułowili. Lecz na Twoje słowo zarzucę sieci”. Skoro to uczynili, zagarnęli tak wielkie mnóstwo ryb, że sieci ich zaczynały się rwać. Skinęli więc na współników w drugiej łodzi, żeby im przyszli z pomocą. Ci podpłynęli; i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzały. Widząc to Szymon Piotr przypadł Jezusowi do kolan i rzekł: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”. I jego bowiem, i wszystkich jego towarzyszy w zdumienie wprawił połów ryb, jakiego dokonali; jak również Jakuba i Jana, synów Zebedeusza, którzy byli współnikami Szymona. Lecz Jezus rzekł do Szymona: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”. I przyciągnąwszy łodzie do brzegu, zostawili wszystko i poszli za Nim (Łk 5, 4-11).

Piotr na początku swej drogi u boku Mistrza widzi cud Jezusa, cud ewidentny dla niego, świadczący o mocy i niezwykłości Pana. Dla rybaka połów mnóstwa ryb po frustrującej, bezowocnej całonocnej pracy jest mocnym znakiem. Jednocześnie Piotr dostrzega swoją grzeszność. Cud rzuca go do nóg Pana, świadomość grzeszności nie pozwala widzieć możliwości pozostania w Jego bliskości („Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”).

To jest przypowieść o modlitwie, którą powinniśmy zanosić do Jezusa w chwilach wewnętrznego dysonansu: jeszcze słyszymy dźwięk Bożej melodii, jej piękna a jednocześnie wdziera się w to brzmienie fałszywy ton naszego grzechu. Czujemy zapach, woń Chrystusa, który kocha, okazuje swoją moc, interweniuje w oczywisty sposób, a zarazem czujemy smród naszej niewierności, niestałości, rozchwiania. Zetknięcie świętości i grzeszności.

Dramatyczna modlitwa u stóp Jezusa. Czuję się niegodny, ale przypadam Mu do nóg. Nie wolno ci wtedy odejść. Diabeł zrobi wszystko, żeby cię do tego nakłonić. To jest kawał drania. Powie: „Nie wygłupiaj się, kochanienieńki! Kogo z siebie robisz?”

Pan zechce cię przekonać, że jesteś przez Niego powołany jako wybrany uczeń. Przecież jeżeli pozwala ci doświadczać cudów, chce w ten sposób rozbudzić twoją wiarę i pociągnąć za sobą. Z takiej modlitwy masz wyjść poza rozdźwięk między świętym a grzesznym. Masz porzucić porównanie. Masz odkryć, że Święty powołuje ciebie, grzesznika, abyś poszedł za Nim i był na Jego służbie.

b) Doświadczenie skruchy serca i zaufania.

Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanąwszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namaszczała je olejkiem. Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: „Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się Go dotyka, że jest grzesznicą”. Na to Jezus rzekł do niego: „Szymonie, mam ci coś powiedzieć”. On rzekł: „Powiedz, Nauczycielu!” „Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwom. Który więc z nich będzie go bardziej miłował?” Szymon odpowiedział: „Sądzę, że ten, któremu więcej darował”. On mu rzekł: „Słusznie osądziłeś”.

Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: „Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałeś Mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś Mi pocałunku; a ona, odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś Mi oliwą; ona zaś olejkiem namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje”. Do niej zaś rzekł: „Twoje grzechy są odpuszczone” (Łk 7, 36-48).

Dla kobiety z Ewangelii, która łzami oblewa stopy Mistrza, nie liczą się ludzkie względy. Jedyne pragnienie, aby ocalić swoje życie w Jezusie. Ona przychodzi do domu faryzeusza, gdzie są goście z tych sfer, które obdarzały ją największą pogardą. Jej determinacja jest tak ogromna, że potrafi to wszystko zawiesić, zapomnieć.

Kobieta nie mówi nic. Istotą tego spotkania z miłosiernym Jezusem jest zawierzenie Jego odnawiającej miłości. Przeżywa swą bezradność u stóp Jezusa i zarazem zaufanie Jego mocy. Drogocenny olejek oznacza jej życie powierzone Jezusowi. Wylane serce na Niego samego. Poprzednie naczynie, w którym był olejek, zostało rozbite. Kobieta doświadczyła swojej kruchości, doświadczyła, że jest glinianym naczyniem, niezdolnym utrzymać drogocennej zawartości. Przelewa siebie w Jezusa, aby w Nim znaleźć bezpieczeństwo i schronienie. Oddaje Mu swoje życie.

W świetle przedstawionej sceny można powiedzieć, że istotą spowiedzi jest powierzenie swojego zranionego serca Zbawicielowi. On, jako jedyny, może ocalić moje życie. Wyzwolić mnie od zagrożenia, od zniszczenia. „Nie złamie trzciny nadłamaney, nie zagasi knotka o nikłym płomyku” (Iz 42, 3).

c) Doświadczenie rozdarcia

Potem wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A [był tam] pewien człowiek, imieniem Zacheusz, zwierchnik celników i bardzo bogaty. Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest, ale nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wspiał się na sykomorę, aby móc Go ujrzyć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzał w górę i rzekł do niego: „Zacheuszu, zejź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu”. Zszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy, widząc to, szemrali: „Do grzesznika poszedł w gościnę”. Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwornie”. Na to Jezus rzekł do niego: „Dzisiaj zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło” (Łk 19, 1-10).

Zacheusz jest człowiekiem rozdartym: z jednej strony pragnie zmiany, nawrócenia, porzucenia grzechu, równocześnie jednak jest przekonany, że to nie może się zdarzyć.

Chce żyć inaczej. Jezus pojawia się jako światło w mroku, jako ostatnia deska ratunku. Celnik wie, że Mistrz z Nazaretu jest kimś, kto zmienia ludzkie życie, podnosi z upadku, uzdrawia serca. Dlatego bardzo chce Go zobaczyć. Z drugiej strony popatrzenie na Jezusa jest w mniemaniu Zacheusza wszystkim, co może uczynić. Słyszy bowiem w sobie głos: „To niemożliwe, żeby cokolwiek się stało”. Bohater z Jerycha ma świadomość, jak kolosalnie wiele w jego życiu musiałoby ulec przeobrażeniu, gdyby podjął łaskę Pana. Ogrom tej perspektywy wydaje się nie do ogarnięcia. Celnik – to grzech dwadzieścia cztery godziny na dobę; to jego utrzymanie, zawód. Wszystkie mosty łączące go niegdyś z rodakami są spalone: skrzywdzeni ludzie, zszargana reputacja. Nawrócenie nie polega w jego wypadku na porzuceniu jakiejś jednej słabości, niegodziwości. Wiąże się z absolutną rewolucją. Trudno mu dopuścić myśl, że jest to realne. Niesiony pragnieniem wchodzi na drzewo, aby choć zobaczyć Mistrza, gdy będzie przechodził obok. Wtedy staje się cud. Jezus ściąga celnika na ziemię i wprasza się do jego domu. Idzie do komory celnej zbudowanej z grzechu, zdrady, zdzierstwa. Dom Zacheusza – całe jego dotychczasowe życie wypełnia światło Bożego miłosierdzia. „Zbawienie staje się udziałem tego domu”.

Nasze spotkanie z Miłosiernym – spowiedź

Jezus mówi do Apostołów:

Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane (J 20, 22).

Te słowa są jasne: Bóg udziela swojego przebaczenia przez ludzkie ręce. Więcej, wcale nie muszą to być ręce świętego księdza, żeby przez nie Bóg podarował człowiekowi swoje miłosierdzie. Apostołowie, jak dobrze wiemy, byli słabymi ludźmi, którzy rywalizowali ze sobą, kto jest

lepszego, większego. To oni przecież, z wyjątkiem Jana, puciekali ze strachu, kiedy zaarrestowano Pana. I to do nich właśnie, i konsekwentnie do wszystkich kapłanów świata: tych cudownych i kiejkich, mówi: „Odpuszczajcie grzechy. W mocy Ducha Świętego bierzcie je od ludzi i wyrzucajcie w nicność. Za waszym pośrednictwem będę obdarzał grzeszników moim miłosierdziem”.

Krótko mówiąc: fakt ludzkiego, kapłańskiego pośrednictwa w odpuszczaniu grzechów jest w chrześcijaństwie niepodważalny. Ale na przestrzeni historii zmieniał się sposób sprawowania tego sakramentu. Początkowo, przez pierwsze sześć wieków, jeżeli ochrzczony dopuścił się poważnego grzechu przeciwko przykazaniom Dekalogu, wyznawał swą winę biskupowi i ten nakładał mu pokutę, która była publiczna. To znaczy człowiek stał w kościele podczas Mszy na specjalnym miejscu, odosobniony, a gdy nadchodził moment Komunii, musiał wyjść z kościoła. Nie wolno było mu też w czasie pokuty, która czasami trwała wiele lat, brać udziału w rozrywkach, ale miał oddawać się modlitwie, dziełom miłosierdzia, pościć.

Gdy skończył się czas pokuty i stwierdzono, że grzesznik naprawdę nawrócił się, odżałował, wtedy biskup przed całą wspólnotą Kościoła wkładał na człowieka ręce i modlił się wraz z innymi o odpuszczenie grzechów. Od tej chwili pokutnik wracał na łono Kościoła, był radośnie przyjmowany przez wszystkich i mógł wraz z innymi przyjmować Komunię. Wspólna uczta radości, bo brat wraca do domu i prosi o przyjęcie.

Mniej więcej od VII wieku zaczyna się rozszerzać inny zwyczaj. Rezygnuje się z publicznej pokuty. Ten, kto upadł w poważny grzech, wyznawał go kapłanowi. Gdy ten stwierdził, że człowiek autentycznie żałuje za to, co zrobił, i chce to naprawić, nadawał pokutę i udzielał rozgrzeszenia. Taka praktyka zachowała się do naszych czasów.

* * *

Zatrzymajmy się na chwilę nad słowem „wyznanie”. Bo spowiedź to właśnie wyznanie grzechów. Po łacinie *confessio*, stąd nazwa na naszą drewnianą budkę: konfesjonał. Zauważmy, że tego słowa nie używamy zbyt często. Ono odnosi się bowiem do trzech najistotniejszych rzeczywistości: wyznaje się miłość, wiarę oraz właśnie grzechy. Jest jakaś powaga w wyznaniu. Dzieje się coś szalenie istotnego. Kiedy dwoje ludzi wyznaje sobie miłość, coś radykalnie się zmienia w życiu obojga. To jest początek nowej, wspólnej drogi. Wyznanie zawiera w sobie pewną nieodwołalność. Kiedy zatem wyznajemy grzechy, pragniemy radykalnej i nieodwołalnej zmiany. Kończy się to, co było, odrzucam grzechy, aby rozpocząć od nowa życie w jednoźci z Bogiem.

* * *

W spowiedzi jest miejsce na pewien rodzaj terapii. Leczenie polegające na odkrywaniu korzeni grzechu, jego głębszych podstaw, drugiego dna. Równie ważny wymiar to pomoc w rozpoznawaniu Bożych oczekiwań, Jego osobiście skierowanej miłości, która ma prowadzić danego człowieka.

Najważniejszą jednak rzeczą, która dokonuje się w spowiedzi jest pojednanie z Panem Bogiem. Nawiązanie utraconej więzi miłości, którą się przekreśliło przez pójście za czymś sprzecznym z Jego mądrą miłością. I powiedzmy sobie jasno, że jeśli ktoś nie przeżywa na co dzień miłości do Boga jako realnej, kształtującej jego życie więzi, nie będzie też odczuwał pragnienia, żeby ją naprawiać, gdy się zerwie.

Problem z głowy

Niekiedy spotykamy się z zarzutami pod adresem katolików, że w sprytny sposób załatwiają problem swoich grzechów. Mianowicie naświntuszają, narozrabiają, a następnie powiedzą o tym księdzu na ucho w konfesjonale i mają problem z głowy. Mają problem z głowy, to znaczy mogą znów robić to samo, aby po jakimś czasie ponownie pojawić się w konfesjonale i powtórzyć całą operację.

Taki zarzut jest bardzo ciekawy. Pokazuje, że czasami jesteśmy postrzegani jako ludzie, na których życie wyznawanie grzechów Bogu nie wywiera realnego wpływu.

Przedstawiony zarzut oczywiście tylko częściowo jest prawdziwy. Wcale nie tak wielu katolików spowiada się z dobrym samopoczuciem. Najczęściej ludzie mają świadomość, że noszą w sobie pewien nie rozwiązany problem, słabość, która powróci. Wiedzą też, że do ważności sakramentu pojednania należy naprawienie tego, co się zepsuło. W związku z tym wszystkim niejeden człowiek woli w ogóle się nie spowiadać, przyjmując postawę „uczciwości”. Postawa ta oznacza, że zawieszają się uczestnictwo w sakramencie pojednania do momentu pełnego postanowienia poprawy. Warto jednak zastanowić się, czy nie mamy zbyt rygorystycznego wyobrażenia o owym „postanowieniu”. Nie możemy, przyznajmy, obiecać na sto procent sobie i Bogu, że już nigdy więcej mój „wybryk” się nie powtórzy. Nie zawsze też jesteśmy w stanie usunąć z serca pragnienie powrotu do grzechu, który często popełniamy. Czasami możemy jedynie, ale przecież to już jest bardzo wiele (!), powiedzieć Panu: „Pociąga mnie zło, które mnie niszczy. Boję się, że pokusa znów okaże się silniejsza. Oddaję Ci moje rozdarcie. Pomóż mi, umocnij moje kruche pragnienie zmiany”. Taka modlitwa, gdy płynie z głębi serca, stanowi autentyczne postanowienie poprawy. Naprawdę czynimy wówczas zadość istotnemu warunkowi spowiedzi.

A swoją drogą nie do przyjęcia jest sytuacja, gdy ktoś myśli o swoim grzechu w taki sposób: „A, zrobię to, bo i tak Pan Bóg mi to wybaczy, gdy się do Niego zwrócę w spowiedzi”. Jeżeli ktoś myśli w podobny sposób, to bardzo niewiele, albo i nic, nie pojmując z Bożych planów wobec siebie. Przecież to jest tak, jak gdyby mąż myślał sobie: „Mam wyrozumiałość, wspaniała kochającą żonę, więc ją zdradzę. Potem pójdę do niej i przeproszę, i wszystko będzie znowu cacy. I podobnie zrobię jeszcze wiele razy, wiele razy ją zdradzę, bo tak bardzo mnie kocha i jest pełna dobroci. Na pewno więc będzie zawsze przebaczać”. Człowiek myślący w taki sposób nigdy nie zbuduje żadnej prawdziwej i głębokiej miłości ze swoją żoną.

Boże miłosierdzie nie ma stanowić furtki dla naszych grzechów, ale szansę odbudowywania miłości, którą z głupoty, słabości zdradzamy. I postawa serca, gdy przychodzimy po miłosierdzie, powinna być pełna szczerego pragnienia, aby już nigdy nie zdradzać Miłości.

Wojciech Jędrzejewski OP

*Publikacja na podstawie pozwolenia Autora Ojca Wojciecha Jędrzejewskiego OP z dnia
16.10.2007 r.*

Kopiowanie i rozpowszechnianie - bez zgody Autora, Ojca Wojciecha Jędrzejewskiego OP -
zabronione